

O PASZTUNACH, ZAMIESZKUJĄCYCH POŁOWĘ TERYTORIUM POŁUDNIOWEGO AFGANISTANU, JEDNEJ CZWARTEJ PÓŁNOCNEJ CZĘŚCI PAKISTANU, A TAKŻE POGRANICZE MIĘDZY NIMI – UWAŻAJĄCYCH SIĘ ZA JEDYNYCH PRAWDZYWYCH AFGAŃCZYKÓW – MAWIA SIĘ, ŻE UOSABIAJĄ W CZYSTEJ, NIESKAZI-TELNEJ FORMIE WSZYSTKO, CO DOBRE I ZŁE W AFGAŃSKIEJ NATURZE

## PASZTUNI

*Wojciech Jagielski*

Takimi zaś, jakimi są, stworzyły ich surowe, bezlitosne góry i wąwozy, w których przyszło im żyć.

Były dla nich ratunkiem i ocaleniem, twierdzami, naturalnymi murami warownymi, zza których toczyli wojny i skutecznie bronili się przed obcymi najezdami. Ale góry winne są też ich nieszczęściom. Ratując się skutecznie przed wrogiem, kryli się w skalistych cytadelach, odgradzali się coraz bardziej od świata, aż w końcu zagubieni wśród gór sami skazali się na wyobcowanie.

Pasztuni utrzymują, że żyją tu od trzech tysięcy lat. Ich kraina rozciągała się od górzystych i porośniętych lasami Czitralu i Malakandu po surowy, skalisty Waziristan, za którym zaczynają się już pustynie Beludżystanu. Od zachodnich

brzegów Indusu i zielonej, nawadnianej przez pięć rzek doliny Peszawaru, po monumentalne łańcuchy Hindukuszu. Na muzułmańską wiarę przeszli przed tysiącem lat za sprawą jednego z ich największych wodzów – Mahmuda Ghazniego, władcy ze wspaniałego afgańskiego królestwa Ghazni. Ale choć wydali spośród siebie jeszcze wielu innych wielkich przywódców, żadnemu z nich nie udało się zebrać Pasztunów w jedno państwo i stanąć na jego czele.

Nie pozwoliła na to wojna, która szczególnie upodobała sobie Pasztunów i ich krainy. Położone między Arabią i Persją a Indiami i Chinami od wieków były szlakiem nie tylko kupieckich karawan, lecz także najeżdżących armii, wysyłanych przez najpotężniejsze imperia, by podbiły nowe terytoria, ludy i grabiły ich skarby.

Wędrowały tędy pułki Aleksandra Macedońskiego, Arabowie, Persowie, Mongołowie Czyngis-chana, Tamerlan, Brytyjczycy, Rosjanie. O podboju Afganistanu przemyślał nawet Hitler. Pasztunowie zaszywali się przed obcymi najeźdźcami w swoich wąwozach w Hindukuszu, górach Sulejmańskich i Białych, by uniknąć pogromów i przetrwać.

Nieustannie walczyli też między sobą. O ziemię, wodopoje, stada, kobiety, prawo do pierwszeństwa łupienia kupieckich karawan. Była to w gruncie rzeczy walka o przetrwanie, bo w górach, które zapewniały bezpieczeństwo przed obcymi, nigdy nie starczało dla wszystkich ani ziemi pod uprawę i na pastwiska, ani nawet wody.

Ciągłe wojny, jakie musieli toczyć, by żyć, a życie to – w surowych, bezlitosnych, bezwzględnych górach i kamienistych pustyniach, konieczność znoszenia niewyobrażalnych trudów, niedoli, chłódów i spiekoty – wykuło ich na podobieństwo skał, które stały się ich naturalnym środowiskiem, światem skrajności, w którym nie było miejsca na żadne wątpliwości ani kompromisy.

„Podobnie jak klimat i ukształtowanie jego kraju, Afgańczyk żyje między skrajnościami i nie zna złotego środka” – pisał jeden ze znawców Afganistanu i pasztuńskich plemion. „Są albo konserwatywni, pogrążeni w bigoterii i przesądach, albo nadzwyczaj światli, wysoce kulturalni

i szlachetnie tolerancyjni. Mogą być kochającym przyjacielem albo nieprzejednanym wrogiem”.

**W** świecie Pasztunów mogli przeżyć tylko najwaleczniejsi, najodważniejsi, najsilniejsi, najwytrwalsi, najwytrzymalsi, najsamodzielniejsi. Słabi, tchórzliwi, niezaradni nie mieli po prostu prawa wstępu do tego świata. Nie mieli też prawa do życia w Raju, dokąd, w przekonaniu Afgańczyków, trafiali wyłącznie mężni wojownicy, przede wszystkim zaś ci, którzy polegli śmiercią niekoniecznie męczeńską, ale obowiązkowo bohaterką. W pasztuńskim, afgańskim świecie ludzie dzielą się na dwie tylko kategorie: silnych i słabych. Silnym, którzy dzięki instynktowi, wiedzy czy doświadczeniu najlepiej i najpełniej poznali tajemnice okrucieństwa, dumy, męstwa, nieufności i zdrady należy się wszystko i do wszystkiego mają prawo. Słabi nie mają prawa do niczego i do niczego nie mogą mieć pretensji. I sami są sobie winni.

Ciągłe wojny, jakie ze sobą toczyli o niemal wszystko sprawiły, że Pasztuni nigdy nie stopili się w jeden naród. Żyli przez wieki w swoich dolinach, nie wchodząc sobie w drogę, nie zaprzatając sobie głowy problemami sąsiadów, nie odczuwając nawet potrzeby kontaktów. Zadowolając się panowaniem w dolinach i mając we wzgardzie jakąkolwiek władzę zwierzchnią, centralną, troszczyli

się przede wszystkim o utrzymanie status quo, podobnie jak drapieżne zwierzęta strzegą swoich terenów łowieckich.

Jedno z powiedzeń Pasztunów mówi, że pokój między Pasztunami panuje tylko wtedy, gdy są na wojnie, gdy zostają napadnięci przez obcego najeźdźcę, którego pokonać mogą tylko wspólnymi siłami.

**M**ieli powody, by nie ufać innym. Obcy pojawiali się na ich ziemiach tylko w jednym celu – by zagarnąć je dla siebie, a ich samych zniewolić. Tylko najpotężniejszym i najokrutniejszym – Aleksandrowi Macedońskiemu, perskim Samanidom, Czyngis-chanowi i Tamerlanowi – udało się podbić pasztuńskie i afgańskie ziemie, ale i oni długo nie utrzymali ich w swoim poddaństwie. W czasach współczesnych nie udało się to już nikomu. Afgańczycy i Pasztunowie nie tylko nie dali sobie odebrać wolności, która zawsze była dla nich najwyższą wartością, ale upokorzyli dwa wielkie imperia – brytyjskie i radzieckie – przyspieszając ich upadek.

Najeżdżani z północy i południa, wschodu i zachodu przez niezmiennie potężniejsze od nich imperia nie mieli nigdy najmniejszych szans, by stawić im czoła w równej walce. Aby przeżyć, musieli walczyć sposobem, uciekać się do zdrad i podstępów. Nie toczyli więc walnych bitew, ale zasadzali się w górskich

wąwozach na pomniejsze, słabsze oddziały wroga, albo tych, którzy w marszu nie nadążali za głównymi siłami.

Romantyczny europejski mit pełnej poświęcenia walki do ostatniej kropli krwi, bohaterskie zmaganie się Dawida z Goliatem były dla Afgańczyków nie tylko obce, ale niedorzeczne, a nawet zabawne. Po co rzucać się na silniejszego wroga, skoro wynik takiej rywalizacji był przesądzony? Po co wytracać armie, marnować siły w przegranej z góry sprawie? Czy nie lepiej poddać się, umknąć z pola bitwy, a jeszcze lepiej uniknąć, wykręcić się jakoś od nierównego pojedynku, poczekać, by za jakiś czas, gdy nadarzy się sposobność, gdy nie będzie się niczego spodziewać, podejść chytrze silniejszego nieprzyjaciela, zadać mu znienacka podstępny, zabójczy cios w plecy?

Zdrada i podstęp stały się obok męstwa najważniejszym orężem Afgańczyków i Pasztunów. Brytyjczycy, którym mimo wielu prób nigdy nie udało się Pasztunów podbić czy choćby okiełznać, mawiali o nich, że „ci z nich, którzy są usposobieni przyjaźnie, strzelają do ciebie nocą, podczas gdy ci, co są wrogo usposobieni, strzelają również w dzień”. „To najnędrniejsze, najbrutalniejsze, najdziksze i najbardziej zdradzieckie bestie na świecie” – pisał przyszły premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill w korespondencji wojennej o pasztuńskim plemieniu Afri-dich z doliny Tirah.

Kiedy przed laty zapytałem pewnego z afgańskich komendantów partyzantycznych o zdrady, jako wojenny oręż, nie sprawiał wrażenia zakłopotanego, lecz raczej rozbawionego pytaniem. Sam zdradził trzy razy. Najpierw był oficerem komunistycznej armii rządowej. Pierwszy raz zdradził, gdy wraz ze swoim dowódcą, generałem Abdulem Raszidem Dostumem, przeszedł na stronę rebeliantów komendanta Ahmada Szaha Massuda. Zdradził ponownie, gdy wypowiedział służbę Dostumowi i wraz ze swoimi niewielkim oddziałem przystał do Massuda.

„Postępujemy tak, żeby przetrwać. Cóż miałbym z tego, że w imię jakichś zasad stawałbym po niewłaściwej stronie? Na cóż zdałaby mi się moja szlachetność, jeśli w jej wyniku byłbym martwy?”

– tłumaczył. „Nawet sam Allah pomaga tym, którzy najpierw sami troszczą się o siebie. Zawsze staramy się więc ustawić tak, by być po stronie tego, kto jest potężniejszy, kto ma przewagę. Dokonujemy wyboru. Oddać życie za wolność? Czyż człowiek martwy może cieszyć się wolnością? Idzie o to, by pozostać przy życiu, by się nią cieszyć”.

W ten sposób walczyli Afgańczycy i Pasztunowie zarówno z obcymi najeźdźcami, jak i między sobą. W historii afgańskich wojen rzadko dochodziło do

walnych bitew. Nie zadawali, nie starali się nawet zadać jednego, potężnego, zabójczego ciosu, ale nękali wroga, nie dając mu spokoju ani wytchnienia, razili go po tysiackroć, aż wyczerpany i wykrwawiony odstępował.

Brytyjczycy, którzy podbili pół Azji, próbowali podbić i podporządkować sobie Afgańczyków i Pasztunów aż trzykrotnie. Walczyli prawie sto lat. Zimą 1842 r. odwrót Brytyjczyków z Kabulu przeszedł do historii jako najstraszliwsza klęska armii imperialnej, porównywalna z odyseją armii Bonapartego spod Moskwy. Łamiąc obietnicę rozejmu, afgańscy wojownicy nieustannie napadali na wycofujące się brytyjskie pułki i tabory. Podpalali obozowiska, spuszczały głazy z górskich zboczy, porywali maruderów.

---

*Brytyjczycy mawiali o Pasztunach, że „ci z nich, którzy są usposobieni przyjaźnie, strzelają do ciebie nocą, podczas gdy ci, co są wrogo usposobieni, strzelają również w dzień”.*

Z ponad 16 tys. Brytyjczyków i Hinduśców odwrót przeżył tylko wojskowy lekarz William Brydon, kilku indyjskich sipajów i afgańskich żołnierzy. Podczas następnej wojny, w 1880 r., na stepach Maiwandu Brytyjczycy doznali pierwszej klęski z rebeliantami w bitwie na otwartym polu. Trzecia i ostatnia, na początku

XX wieku – ponownie przegrana – przyspieszyła rozpad brytyjskiego imperium.

Afgańskim i pasztuńskim wojownikom nie dali rady także Rosjanie, którzy po dziesięciu latach okupacji Afganistanu, straciwszy tysiące żołnierzy i miliardy rubli, odtrąbili odwrót. Wojenna klęska pociągnęła upadek Związku Radzieckiego i światowego imperium komunizmu.

Większość afgańskich i pasztuńskich wodzów uważała, że jedynym, co może ich uratować przed potężniejszymi i zachłannymi obcymi najeźdźcami, jest odgrodzić się możliwie najszczelniej od otaczającego świata i jego nowinek. Dziewiętnastowieczny afgański emir Abdurahman, w imię Wszchemogącego, zaklinał swoich rodaków, by nie słuchali cudzoziemskich natrętów, którzy mając ich błyskotkami chcieli jedynie ukraść i rozdzielić między siebie afgańskie ziemie. W końcu rozkazał zatrzaskać na głucho wszystkie bramy do Afganistanu i trzymać je zamknięte, póki afgański rząd i afgańska armia nie będą na tyle silne, by stawić czoła napierającym od północy i południa imperiom Rosji i Wielkiej Brytanii.

„Jesteśmy jak biedna koza, na którą chrapkę ma z jednej strony rosyjski niedźwiedź, a z drugiej brytyjski lew” – mawiał, przekonując poddanych, że sam Allah dał im górskie szczyty na obronne twierdze,

w których dopóki będą mogli walczyć z zagłazów, pozostaną niepokonani.

Poddanym, pod groźbą kary śmierci, nie tylko zabronił wyjeżdżać z kraju bez królewskiego zezwolenia, ale nawet przemieszczać się z prowincji do prowincji bez specjalnych przepustek. Cudzoziemców zakazał wpuszczać do Afganistanu, a na granicy kazał wbijać słupy z ostrzeżeniami: „Obcym wstęp wzbroniony”.

Nie pozwolił Anglikom budować kolei żelaznej z Peszawaru do Kabulu ani z Czamanu do Kandaharu (do dziś nie ma ich w Afganistanie) i nie zgodził się nawet na przeciągnięcie do swojej stolicy linii telegraficznej.

Mimo że przeżywano go żelaznym emirem, brutalem i prostakiem, to żadnemu z jego następców na kabulskim tronie nie udało się zbudować państwa równie silne-

---

*Linii Duranda, narzuconej przez Brytyjczyków granicy z Pakistanem, nie uznał żaden rząd afgański.*

go, sprawnego i zwartego jak Afganistan w czasie trzydziestu lat panowania Abdurrahmana. W pamięci afgańskiej zapisał się jako władca okrutny, ale dobry. Odgradzając się od obcych, kryjąc się przed nimi w przepastnych dolinach, stracili kontakt ze światem, zamknęli pod pancierzem zaściankowych przesądów i wyobrażeń.

Nie potrafiąc ich podbić, wszyscy kolejni najeźdźcy zawierali z pasztuńskimi plemionami rozejmy. Za obietnicę, że nie będą napadać na przemierzające ich ziemie obce wojska, obiecywali Pasztunom zostawić ich w spokoju. Przekupywali ich, by nie łupili na przełęczach kupieckich karawan. Nawet dziś amerykańscy generałowie opłacają Afridich z Przełęczu Chajberskiej, by zapewnić bezpieczeństwo karawanom, którymi wędruje trzy czwarte zaopatrzenia dla zachodnich wojsk w Afganistanie.

Brytyjczycy uznali niepodległość rządzonego przez Pasztunów Afganistanu i wycofali wojska z pasztuńskich ziem i z gór z pogranicza Indii, podbitych przez Koronę i przemienionych w perłę jej imperium. Pozwolili nawet Pasztunom wyrabiać karabiny, byle tylko nie próbowali zdobywać ich na żołnierzach Ich Królewskich Mości.

Brytyjczycy poszli jedynie w ślady Wielkich Mogołów, z których żadnemu, mimo wielu prób i starań, nigdy nie udało się zmusić Pasztunów do uległości. Nie udało się to zresztą ani sikhom Sandžit Singha, którzy puścili z dymem Peszawar i wyrznęli w pień jego ludność, ani Pendżabczykom, którzy przejęli rządy w niepodległym Pakistanie.

Nie chcąc kosztownych i beznadziejnych wojen z Pasztunami, kolejni władcy ustanawiali w pendżabskim Lahore, a potem w Peszawarze swoich namiestni-

ków i zobowiązywali się do przestrzegania autonomii na plemiennych ziemiach Pasztunów, ciągnących się szerokim pasem wzdłuż południowych rubieży Afganistanu.

Niepodległy, zobowiązany do neutralności Afganistan miał być dla Brytyjczyków strefą buforową, oddzielającą ich indyjskie kolonie od coraz bardziej zachłannego imperium Rosji z północy, a ziemie wolnych plemion pasztuńskich dodatkowym buforem, zabezpieczającym skarby Korony przed władcami z Kabulu, którym w Londynie nigdy nie ufano.

W 1898 r., w zamian za obietnicę niepodległości, Brytyjczycy wymusili na afgańskim emirze Abdurrahmanie zgodę na ustanowienie granicy między jego królestwem a indyjskimi posiadłościami Korony. Linie graniczne nazwane od imienia ministra brytyjskich Indii sir Henry'ego Mortimera Durranda rozdzieliły Góry Sulejmańskie i Białe, a także żyjące tam pasztuńskie plemiona. Jedna trzecia Pasztunów znalazła się w Afganistanie, stanowiąc prawie połowę ludności tego kraju. Pozostałe dwie trzecie stało się mieszkańcami terytoriów wolnych plemion pasztuńskich i brytyjskich Indii, do których włączony został także Peszawar, pasztuńska metropolia, zimowa stolica afgańskich królów.

Pasztuni, z obu stron między wytyczonej przez Brytyjczyków, nigdy nie uznali jej za granicę. Tym bardziej, że dostali prawo swobodnego przemarszu przez nią

w tę i z powrotem. Do dziś nazywają ją nie granicą, lecz Linią Duranda. Do dziś również nie uznał jej za oficjalną granicę żaden rząd z Afganistanu.

Afganistan przez długie lata nie mógł też pogodzić się z istnieniem po sąsiedzku niepodległego Pakistanu, powstałego z krwawego podziału brytyjskich Indii: na część hinduską i muzułmańską. Panujący w Kabulu pasztuńscy władcy jako jedyni zaprotestowali przeciwko tworzeniu niepotrzebnego ich zdaniem i kalekiego tworu – Pakistanu. Jeśli już Indie mają zostać podzielone – przekonywali – to z muzułmańskich prowincji nie należy powoływać sztucznego państwa, lecz po prostu przyłączyć je do Afganistanu, państwa już istniejącego, mającego swoją historię i tradycje, którego mieszkańcy też wierzą w Allaha i którzy jak mało kto cenią i bronią swojej wolności i niepodległości. Gdyby te prośby i żądania zostały spełnione, Afganistan stałby się regionalnym mocarstwem – zyskałby żyzne i bogate ziemie Pendżabu, a także dostęp do ciepłych wód Morza Arabskiego.

Afganistan, a także pasztuńscy wodzowie zza miedzy Duranda, nie uznali plebiscytu z 1947 r., w którym muzułmanom z pogranicza pozostawiono jedynie wybór między Indiami a eksperymentalnym i sztucznym państwem pakistańskim. Pasztuński wódz Abdul Ghaffar Chan, druh Mahatmy, nazywany Gandhim z pogranicza, zaklinał rodaków, by,

nie mając innego wyboru, zbojkotowali plebiscyt. Pasztuni posłuchali jego wezwania i w referendum nie wzięła udziału nawet dziesiąta część mieszkańców pasztuńskich ziemi. Ci jednak, którzy poszli głosować, wybrali Pakistan, a tylko te głosy się liczyły. Terytoria wolnych plemion pasztuńskich zostały włączone do Pakistanu.

Nadaremnie afgańscy Pasztunowie z Kabulu sprzeciwiali się uznaniu Pakistanu za państwo i przyjęciu go do ONZ, nadaremnie proponowali po cichu rządowi z Indii rozbiór Pakistanu. Nadaremnie wydawali graniczne wojny i podjudzali Pasztunów zza pakistańskiej granicy do zbrojnych buntów i irredenty. Z 30 lat życia w niepodległym Pakistanie pasztuński Mahatma Abdul Ghaffar Chan siedem spędził na wygnaniu w Afganistanie, a piętnaście w pakistańskich więzieniach. A jego syn i polityczny spadkobierca (wnuk Asfandjar jest dziś premierem w Peszawarze) mógł tylko z pogardą powtarzać odwiedzającym go zagranicznym dziennikarzom, że „Pasztunem jest od kilku tysięcy lat, muzułmaninem od lat tysiąca, zaś Pakistańczykiem zaledwie od lat kilkudziesięciu”.

**C**hcąc udobruchać pasztuńskich wojowników, odwieść ich od zbrojnej rewolty, Pakistan utrzymał przywileje Pasztunów z pogranicza. Pakistańskie wojsko miało nie wkraczać na ich ziemie,

nie mieli się też na nich pojawiać poborcy podatkowi, sędziowie, policjanci. Wazirowie, Mehsudzi, Afridzi, Jusufzajowie i sto innych pasztuńskich plemion, jak przed wiekami, mieszkali w swoich przypominających warowne twierdze domostwach, otoczonych wysokimi murami i wieżami wartowniczymi i rządili się wyłącznie prawami islamu oraz własnym kodeksem plemiennym, pasztunwali, nakazującym święte posłuszeństwo rodowi i plemieniu, gościnności, odpowiedzialności zbiorowej i rodowej zemsty.

Cena, jaką Pasztunom przyszło zapłacić za niezależność, była jednak wysoka. Terytoria Pasztunów przeradzały się w rezerwaty-skanseny, a autonomia wolnych plemion skazywała je na zacofanie i biedę. Niewiele z wynalazków nowoczesności trafiało na pasztuńskie ziemie, a jeszcze mniej docierało tu nowoczesnych praw i obyczajów.

Pogranicze było i do dziś pozostaje najbiedniejszą częścią Pakistanu. Skaliste wąwozy nie nadają się pod uprawę, fabryki nigdy tu nie powstały. Podobnie jak szkoły, szpitale, a nawet drogi. Obietnica niewtrącania się w ich sprawy oznaczała też, że nowoczesnym, świeckim partiom politycznym z Pakistanu nie wolno było działać na ziemiach Pasztunów. Do połowy lat 90. na pasztuńskich ziemiach nie przeprowadzano wyborów, a posłów do parlamentu wyznaczali plemienni wodzowie przekupywani przez urzędników.

Swobodę działania mieli za to mułlowie, którzy za zachętą przywódców Pakistanu przejmowali na pograniczu rządy dusz. Nie ufając bowiem hardym Pasztunom i obawiając się ich buntu, Pakistańczycy zwalczali wszelkie przejawy pasztuńskiego nacjonalizmu, pielęgnowali zaś wśród nich religijną gorliwość, by solidarność wiary wzięła górę nad więzami krwi.

„Potrafiliśmy się bić jak nikt. Ale ta nasza przeklęta niechęć, by uznać pierwszeństwo choćby kogoś spośród nas samych, nigdy nie pozwalała nam ustąpić drugiemu” – powiedział mi pewien serdar – wódz Jusufzajów z Malakandu. „Dlatego inni mają dziś swoje państwa, a my po staremu żyjemy na dzikich polach”. Pendźabczycy, którzy w niepodległym Pakistanie zawsze odgrywali najważniejszą rolę, do dziś nazywają terytoria wolnych plemion pasztuńskich Krainą Bezprawia lub Krajem Buntowników.

Zanim nie zamknięto ich dla cudzoziemców, na ziemiach wolnych plemion pasztuńskich wjeżdżałem zwykle przez fort Dżamrud, zmierzając z Peszawaru do Afganistanu przez przecinającą góry Sulejmańskie przełęcz Chajberską.

Choć Peszawar formalnie stanowi część Pakistanu, należy już jednak do Afganistanu. W starej części miasta niewiele się zmieniło od czasów, gdy zimą rozkładali tam swoje dwory królowie z Kabulu. Czas zdawał się zatrzymać już

na bazarze Wróżów, Ptasim – obwieszonym drucianymi klatkami ze śpiewającymi ptaszkami, na bazarze złotników Andarszah, Chajberskim, gdzie dentyści rwą zęby pacjentom wciśniętym w porozstawiane na chodnikach skórzane fotele,

---

*W miasteczku Darra Adam Khel miejscowi Afrydzi wyrabiali wszelki możliwy oręż. Po dobieciu targu następowała próba jakości towaru. Kupujący i sprzedawca udawali się na skraj wsi, i tam, z dala od ludzkich domostw, strzelając w dal, wypróbowywali celność i zasięg pistoletów, karabinów, granatników, miotaczy ognia, a nawet moździerzy.*

i największym, najważniejszym w mieście Jadgar. Wąskimi zaułkami, w cieniu wysokich kamienic z drewnianymi, misternie rzeźbionymi okiennicami i balkonami, w labiryntach bram i kramów niespiesznie przechadzali się brodaci pasztuńscy wojownicy, najliczniejsi tu Afrydzi, Szinwarowie, Jusufzajowie, Alizajowie, w ogromnych turbanach zakrywających pół twarzy oraz – nierzadko – z przerzuconymi przez ramię, ledwie skrywanymi karabinami.

**W** miasteczku Landi Kotal na Przełęczy Chajberskiej urywały się tory, które Anglicy chcieli pociągnąć aż do Kabulu. Landi Kotal było siedliskiem

ludzi, którzy w każdym innym miejscu świata zostaliby wyjęci spod prawa: przemytników, pokątnych handlarzy narkotyków, domorosłych rusznikarzy. Na głównym bazarze mieszczącym się nie jak w innych miasteczkach na rynku, lecz

w dole, poniżej drogi, jakby w ukryciu, na straganach, obok cebuli, worków cukru, przypraw i połci mięsa leżały lśniące od oliwy karabiny, a między sznurami czosnku wisiały brunatne placki haszyszu. Sprzedawcy zachwalali towar, ciągnęli do swoich kramów, namawiali do degustacji. Wciskali w dłonie kule pomarańczy, kraciaste chus-

ty chroniące twarz przed słońcem, a nozdrza przed kurzem, przełamywali i podtykali pod nos grudki haszyszu wielkości łupiny orzecha laskowego, które gotowi byli odstąpić za cenę paczki Marlboro.

Na straganach można było kupić prawie wszystko. Zgodnie z zawartym z Pakistanem układem, pozbawiony dostępu do morza Afganistan mógł sprowadzać bez cła wszelkie potrzebne mu towary przez port w Karaczi. Zaplombowane ciężarówki afgańskich kupców od dziesięcioleci wędrowały przez Pakistan do Dżelalabadu i Czamanu po to tylko, żeby przeladować towary na karawany wielbłądów i osłów pasztuńskich przemytników i wracać na bazyry Kwetty i Pesza-

waru. W Kabulu trwała już w najlepsze wojna, a według handlowych faktur do pozbawionego prądu miasta sprowadzono ośmiokrotnie więcej niż przed wojną lodówek i telewizorów i aż dwudziestodwukrotnie więcej klimatyzatorów.

W nieodległym od Peszawaru miasteczku Darra Adam Khel miejscowi Afrydzi, jak dawniej, wyrabiali wszelki możliwy oręż. Po dobieciu targu następowała próba jakości towaru. Kupujący i sprzedawca udawali się z towarem na skraj wsi, i tam, z dala od ludzkich domostw, strzelając w dal, wypróbowywali celność i zasięg pistoletów, karabinów, granatników, miotaczy ognia, a nawet moździerzy.

Na pasztuńskich ziemiach pakistańskie prawo obowiązywało tylko na drogach bitych i tylko tam pakistańska policja bierze odpowiedzialność za bezpieczeństwo podróżnych. Wyprawiając się do którejś z pasztuńskich krain, należało uzyskać najpierw w peszawarskich urzędach stosowne zezwolenie, a także oświadczyć na piśmie, że nie będzie się miało o nic pretensji, że znikąd nie będzie się spodziewało żadnej pomocy, że odtąd bierze się na siebie całą odpowiedzialność za swoje losy.

Ostatnie z wojen, jakie zawitały na ziemi Pasztunów, uzurpowały sobie nazwę wojen świętych. Taką właśnie okrzyknięta została ta, jaką afgańscy mudżahedini podjęli, by wypędzić z kraju na-

jeżdżącą Armię Czerwoną z komunistycznego imperium Związku Radzieckiego.

Miliony afgańskich Pasztunów, uciekając przez czerwonoarmijnymi samolotami i czołgami, schroniło się u swoich braci zza pakistańskiej miedzy. U pakistańskich Pasztunów ukrywali się, szkolili, zbroili i wyruszali na wojenne wyprawy afgańscy mudżahedini. Ich gospodarze również brali udział w wojnie, uważając ją za własną.

To wtedy też na pasztuńskie ziemie przybyli muzułmańscy ochotnicy na świętą wojnę, która miała im zapewnić zbawienie. Był wśród nich saudyjski bogacz Osama ibn Ladin, który za rodzinne miliony i przy pomocy ściągniętych z Dżid-dy budowlanych machin kopał w górach Sulejmańskich i Białych kryjówki dla partyzantów, a także tunele, którymi niezauważeni przepawali się do Afganistanu. Tak właśnie, ćwierć wieku temu, rodziła się dzisiejsza terrorystyczna międzynarodówka Al-Kaida, wówczas sojuszniczka wroga Kremlowi Ameryki i Pakistanu, a dziś ich śmiertelny wróg.

Po wygranej wojnie ze Wschodnim Imperium, upojeni zwycięstwem i przekonani o swojej potędze, bezrobotni przywódcy muzułmańskich ochotników postanowili pokonać także Imperium Zachodu. Natchnieni zwycięstwem nad Północnym Imperium zapalali ochotę, by wydać wojnę także Imperium Zachodu, jeszcze potężniejszemu, zadufanemu

w swojej potędze i bogactwie, które po afgańskiej wiktorii porzuciło Afganistan i afgańsko-pakistańskie pogranicze jak niepotrzebny już karabin.

Pakistan z kolei próbował wykorzystać muzułmańskich rewolucjonistów do wojny o Kaszmir ze starym wrogiem – Indiami, ale emirat koczowników świętej wojny już wtedy zaczął żyć własnym życiem. Najpierw zajęli Afganistan, gdzie po latach wojny domowej władzę przejęli muzułmańscy fanatycy, talibowie. Z afgańskich przystani ochotnicy świętej wojny rozjechali się do kaukaskiej Czeczenii, bałkańskich: Kosowa i Bośni, do Sudanu i Somalii, na Filipiny. Wreszcie 11 września 2001 r. uderzyli w Amerykę. W odwecie Amerykanie dokonali inwazji na Afganistan. Kolejne światowe mocarstwo wyruszyło na afgańską wojnę przekonane, że właśnie jemu uda się odnieść w Afganistanie zwycięstwo.

Talibowie nie próbowali stawiać Amerykanom oporu. Pospiesznie umknęli do swojej twierdzy w pasztuńskich krainach na pograniczu. Łatwe zwycięstwo w Afganistanie sprawiło, że Amerykanie zlekceważyli pokonanych i ruszyli na nową wyprawę, na Irak. Zajęci wojną w Bagdadzie nie mieli głowy, czasu ani sił, by zajmować się Afganistanem i krainami Pasztunów, w których talibowie i partyzanci Al-Kaidy leczyli się z ran, szykowali na nową świętą wojnę. Po kilku latach talibowie nie tylko

podnieśli zbrojne powstanie w Afganistanie, ale zarazili wojną swoich gospodarzy. W pasztuńskich krainach na pakistańskiej stronie pojawili się rodzimi talibowie. Najpierw w Waziristanach – Północnym i Południowym, potem w Badżaurze, Chajberze, Kurramie, Mohmandzie i Orakzaju, a nawet na ziemiach osiadłych Pasztunów wcielonych do pakistańskiego państwa – w Malakandzie, Dirze, dolinie Swatu, Kohacie, Hangu, Darze Adam Khel. Terytoria Pasztunów – zarówno afgańskich, jak i pakistańskich, stały się partyzanckim emiratem koczowników świętej wojny.

**W** lipcu 2002 r., naciskany przez Amerykę, rząd Pakistanu po raz pierwszy od ponad pół wieku posłał wojsko na terytoria wolnych plemion pasztuńskich, do doliny Tirah w Chajberze, Mohmandu, a potem do obu Waziristanów. Wkrótce wojna, która przelała się przez miedzę z Afganistanu, ogarnęła wszystkie pasztuńskie krainy, włącznie z – uchodzącym za spokojny obszar – Malakandem, odległym zaledwie 100 km od pakistańskiej stolicy, Islamabadu.

Amerykanie i ustanowiony przez nich w Kabulu afgański rząd z Pasztunem Hamidem Karzajem jako prezydentem oskarżają pakistańskie wojsko, że bojąc się wojny domowej unika walk z pasztuńskimi partyzantami, panującymi na pograniczu, ciągnącym się przez ponad 2,5 tys. kilometrów gór, wąwozów i skalistych pustyń. Amerykańskie samoloty

szpiegowskie od roku bombardują także wioski za pakistańską granicą.

Pakistańscy generałowie odpowiadają, że według wojskowych regulaminów do upilnowania tak długiej granicy potrzeba byłoby co najmniej 5 milionów żołnierzy, podczas gdy połączone wojska zachodniej koalicji, a także rządowe, afgańskie i pakistańskie nie są w stanie wystawić nawet ćwierć miliona.

A skoro tak – odparli pakistańscy ministrowie – jedynym sposobem, by zaradzić partyzanckim rajdom przez granicę, byłoby pobudowanie na granicy między Pakistanem i Afganistanem wysokiego, betonowego muru, takiego choćby jaki wzniesli Żydzi z Izraela, by zabezpieczyć się przed atakami palestyńskich zamachowców z Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu.

Pakistańczycy zaczęli nawet wznosić graniczny mur, ale zarzucili prace wsku-

tek oburzonych protestów rządzących w Kabulu afgańskich Pasztunów. „Nie zgadzamy się, by budować wzdłuż granicy, której nie uznajemy i nigdy nie uznamy” – oznajmili przedstawiciele afgańskiego rządu. „Nikommu nie wolno stawiać muru czy choćby zasieków z drutu kolczastego na ziemiach, które do niego nie należą”.

Według dziennikarzy z Peszawaru pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy wojna z Afganistanu wciągnie na dobre połączone z nim pasztuńskie ziemie zza pakistańskiej miedzy. I przypominają podręcznik do walki z Pasztunami, w którym brytyjski generał Andrew Skeen na początku XIX stulecia napisał: „Jeśli planujesz ekspedycję wojskową na ziemie Pasztunów, to pierwszą rzeczą, jaką musisz zaplanować, jest odwrót”. „Wcześniej czy później, wszystkie wyprawy wojenne przeciwko Pasztunom kończą się rejteradą pod ostrzałem”.